"Wspomnienie"

Rok 1939... wojna. Zajęcie Poznania przez Niemców. Jakoś się jeszcze żyło i tego wszystkiego nie odczuwało. Zbieraliśmy się normalnie co wieczór w Oratorium. Nawet ~~coraz~~ więcej lgnęliśmy do niego niż kiedyś, gdyż Niemcy zaczynali swe panowanie i nie miało się w ogóle gdzie iść. Wszystkie chwile wolne, a przede wszystkim wieczory, spędzaliśmy w Oratorium, przeważnie śpiewając nasze piosenki przy akompaniamencie fisharmonium, na której jeden z nas grał. Czasem Czesio Jóźwiak lub Edek Kaźmierski z Frankiem Kęsym opowiadali nam swe przeżycia wojenne, bo przecież sami szli ochotniczo aż pod Kutno, by się zaciągnąć do Wojska Polskiego. Niestety nie udało im się to, nigdzie nie mogli znaleźć R.K.U. Jedynie przeszedł kampanię wrześniową Jóźwiak, który dostał się w Jarocinie do tamtejszego pułku. Zostali oni rozbici pod Kutnem. Ukrywał się wraz z kolegami w szuwarach nad Wisłą. Udało się przebrać w cywilne rzeczy i wrócić do domu. Minęła go niewola niemiecka. Tak samo szczęśliwie wrócili Edek Klinik, Kaźmierski, Wojciechowski i Kęsy.

Byliśmy znów razem.

W Zimie jeden z naszych nowych kolegów Stefan Stuligrosz, były śpiewak ks. Gieburowskiego, zorganizował chór męski, w którym wszyscy śpiewaliśmy. Co niedzielę śpiewaliśmy w kościółk przy ul. Wronieckiej. Niestety, długo to nie trwało. Pierwszy cios nas spotkał. Niemcy zajęli zakład, potem zamknęli Kościół. Musieliśmy opuścić Oratorium i Kościół. Z bólem żegnaliśmy te kochane mury, gdzie tyle miłych chwil spędziliśmy. Od tego czasu przenieśliśmy się do Braci Serca Jezusowego na Śródkę. Z Braćmi tymi znał się dobrze właśnie nasz nowy kolega Stuligrosz. Mieliśmy tam do dyspozycji mały pokoik z fortepianem. Była możność tam ćwiczyć. Bracia byli dla nas bardzo życzliwi.

Tam też spędzaliśmy teraz wolne chwile i wieczory. Co niedzie śpiewaliśmy w kościółku Najśw.Maryii Panny, Św. Małgorzaty na Śródce, czy też w innych jeszcze nie zamkniętych kościołach poznańskich. Gdy nadeszło lato 1940 roku, zbieraliśmy się na ogródkach działkowych za Chwaliszewem lub nad Wartą. W niedzi lę wybieraliśmy się na dłuższe wycieczki za miasto.

Było nam razem dobrze.

Zgoda i jedność panowała między nami. Tworzyliśmy nadal rodzinę salezjańską. Zbliża się jesień.

Dnia 21 września 1940 r., była to sobota, zaszedł pierw wypadek, który nas wyprowadził z normalnego trybu życia. Edel Klinik został aresztowany.

Jakkolwiek podobne wypadki miały miejsce nieomal codzie nie, to jednak zaaresztowanie jednego z naszej paczki zasmuc nas bardzo..Poszliśmy osobiście do rodziców Klinika, by ich cieszyć. Ja sam byłem pewny, że zaszła jakaś pomyłka i że Kl będzie zwolniony. Nie wiedziałem, dlaczego go aresztowali. Gdybym wiedział, nie łudziłbym się jego powrotem. Reszta wie działa o co chodzi, lecz trzymali to w tajemnicy przede mną. Zauważyłem silne zdenerwowanie u nich, lecz nie zwracałem na uwagi. Dnia 22 września, w niedzielę, śpiewaliśmy na Mszy św u Sióstr Najśw.Serca Jezusowego w kaplicy przy Placu Nowowie skim. Ponury nastrój panował między nami. Zauważyłem, że Kaź mierski, Jóźwiak, Kęsy i Wojciechowski starali się na uboczu coś mówić, żebym ja nie słyszał. Byli dziwnie podnieceni. Ja zaś byłem spokojny.

Pamiętny dzień 23 września ~~1940 r.~~ 1940 r.

Zebraliśmy się na starym miejscu, na ogródkach działko Wieczorem o godz.18,oo zauważyłem pewne odprężenie u nich. niej sobie to wytłumaczyłem. Sądzili, że niebezpieczeństwo

nęło. Rozmawialiśmy o wojnie, żartowaliśmy - było wesoło. O godz. 21,30 wyruszyliśmy do domu, gdyż do godz. 22,oo było wolno tylko chodzić. Wstąpiliśmy jeszcze do rodziców Klinika, dowiedzieć się coś o nim. Pożegnaliśmy się.

W nocy o godz.23,3o zbudziło mnie silne pukanie do drzwi. Po otwarciu ich weszło do pokoju dwóch gestapowców.Sprawdzenie personalii, rewizja i... komm mit. Płacz rodziców, krótkie pożegnanie i znalazłem się w aucie, w którym siedział już jeden chłopak mi nieznany. Auto jechało na ulicę Łąkową. Stanęliśmy przed domem, gdzie mieszkał Edek Kaźmierski. Po chwili było nas już trzech. Nie mówiliśmy do siebie nic. Byliśmy wystraszeni. Zajechaliśmy do domu gestapo, gdzie już był Jóźwiak, Kęsy i Wojciechowski.

Byliśmy znów wszyscy razem.

Po pierwszych wspólnych przesłuchaniach dowiedziałem się, że jesteśmy wszyscy posądzeni o przynależność do tajnej organizacji wojskowej. Naturalnie nikt z nas do niczego się nie przyznał. Ja byłem oszołomiony, nic o czymś podobnym nie słyszałem. Dopiero po zamknięciu nas w celi dowiedziałem się, że faktycznie oni wszyscy do tej organizacji należeli, z wyjątkiem mnie jednego. Dlaczego mnie również zaaresztowali, było dla nich zagadką.

Na drugi dzień odbywały się przesłuchy indywidualnie, przy których bicie było rzeczą normalną. Najwięcej znęcali się nad Jóźwiakiem, którego nazywali hersztem naszym.

Wieczorem zawieziono nas do obozu koncentracyjnego na Ławicy, do Fortu VII. Tam na samym wstępie musieliśmy zdać nasze rzeczy osobiste, które szły na przechowanie. Każdy z nas miał różaniec przy sobie. Rzucono do kosza. Nie zraziliśmy się różnymi wyzwiskami i szyderstwami przy tej czynności. Podczas

nieuwagi Gestapowca wyjęliśmy je z kosza i włożyliśmy do kieszeni.

Zaprowadzono nas do celi, a właściwie do podziemnego bunkra nr 58, w którym znajdowało się około 80 osób. Na cementi pod ścianami, na wiązce podrobionej słomy leżeli ludzie różni wiekiem i zawodem. Byli chłopcy piętnastoletni i starcy siedemdziesięcioletni. Lekarze i robotnicy, uczniowie i studenci. W osiemdziesięciu procentach była młodzież.

Mieliśmy odtąd pędzić ich los.

Zaczęła się nasza tułaczka.

Pierwsze dni były najgorsze. Nie mogliśmy przyjść do siebie. Trudno było pogodzić się z tym losem. Lecz nie długo to trwało. Zaczęliśmy się pocieszać nawzajem. Zapoznaliśmy się z dużą grupą nowych kolegów, którzy się nami zaraz zaopiekowali Wkrótce pogodziliśmy się z Wolą Bożą bez względu na następstwa jakie miały nas spotkać. Wszyscy ofiarowaliśmy te cierpienia Panu Bogu, jako pokutę za nasze grzechy. Mnie osobiście Czesio Jóźwiak potrafił wytłumaczyć, że te nasze cierpienia tak samo owocne dla przyszłości naszej Ojczyzny, jak walka żołnierza na froncie.

W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że w tej samej sprawie co i my, znajduje się w tym obozie około 280 ludzi. Dowiedzieliśmy się również, że w jednej z cel znajduje się Edek Klinik. Wróciły nam nawet humory. Wybraliśmy sobie wspólne legowisko i całymi dniami śpiewaliśmy lub żartowaliśmy.

Po kilku dniach mieliśmy już liczną paczkę w koło siebie. Nazywali nas popularnie wesołą czwórką. Zabawialiśmy całą celę. Powyższy nastrój przerywały jedynie wyjazdy do domu Gestapo na przesłuchy lub odwiedziny Wachmanów, których ręce świerzbiały

Na przesłuchach dowiedziałem się, że zarzucają mi czytani i rozdawanie tajnych gazetek, które otrzymywałem od członków tej organizacji, co faktycznie miało miejsce.

Żeby wyjaśnić mój stan przed aresztowaniem, muszę dodać, że faktycznie oni wszyscy do tej organizacji należeli, jedynie ja jeden nie byłem w niej zaangażowany. Byłem dopiero kandydatem i posługiwali się mną do rozdawania gazetek. O organizacji nic nie wiedziałem, bo nie mogłem wiedzieć. Była to tajemnica. Dlatego po aresztowaniu Klinika, nasza paczka się tym bardzo zaniepokoiła. Jedynie ja byłem spokojny, bo nie wiedziałem, na jakiej podstawie Klinika zabrano.

Lecz wróćmy do Fortu VII. Nikt by nie wierzył, że chłopcy w wieku od 18 do 23 lat, którym zabrano skarb, jaki człowiek posiada - wolność, potrafią z taką pogodą, z takim zupełnym zdaniem się na Wolę Bożą znosić ten przykry los. Pomimo ciągłyc udręczeń, tak fizycznych jak i moralnych, gdy tylko drzwi się zamknęły za odchodzącym gestapowcem, już wracał humor i pogoda. Wieczorami cała cele odmawiała wspólny różaniec, który nas krzc pił na duchu.

Po czterotygodniowym pobycie we Forcie VII, zaczął się robić ruch i słowo "transport" obiło się o nasze uszy. Zebrano nas na jednej celi około 150 ludzi, gdzie ściśnięci w kuczkach siedzieliśmy dwa dni i dwie noce. Żeby nam się nie nudziło, urozmaicaliśmy sobie czas śpiewami, deklamacjami i różnymi popisami. Tam też spotkaliśmy się z Klinikiem, z czego się bardzo ucieszyliśmy. Na trzeci dzień odwieziono nas do więzienia przy ul. Młyńskiej. Trzymaliśmy się razem, by dostać się na wspólną celę, co nam się też udało. Radość była wielka. Wieczorem odmawialiśmy wspólnie nasze salezjańskie modlitwy i różaniec.

Po tygodniowym pobycie zostaliśmy rozdzieleni.

Klinik z Kęsym dostali się na jedną celę, Edek Kaźmierski ze mną na drugą, a Jóźwiak i Wojciechowski na osobne cele.

W celi, w której znajdowałem się z Kaźmierskim, było około 20 więźniów. Wielu z nich, to przedwojenni, notoryczni przestępcy. Niezbyt nam odpowiadało to towarzystwo, ale na to nie było rady. Z początku patrzyli na nas z podełba, ale pod koniec to nawet nas polubili. Mieliśmy zawsze piosenkę na ustach i dobre słowo. Tutaj po raz pierwszy w życiu zakosztowaliśmy smaku głodu, co było najgorsze podczas naszej całej niewoli. We Forcie VII mogliśmy otrzymywać paczki żywnościowe z domu, lecz w więzieniu było to wzbronione. Tutaj po raz pierwszy poznałem szlachetne serce Edka Kaźmierskiego. Otrzymywał taką samą porcję jedzenia co ja, a nieraz mnie zmuszał po prostu, żebym zjadł jego część chleba. W takim głodzie dzielić się własnym, tak niewystarczającym kawałkiem chleba, to naprawdę rzecz nie łatwa. Czesio Jóźwiak znajdował się w tym więzieniu między samymi przestępcami. Dokuczali mu strasznie. Dawali mu najgorsze prace, a gdy odmawiał pacierz, to się z niego śmiali i szydzili mówiąc: "Co tak wymachujesz tymi rękami przy łóżku?". W końcu Jóźwiak zachorował i dostał się na izbę chorych, gdzie przebywał aż do naszego wyjazdu do Wronek.

Wspólnie widywaliśmy się tylko na podwórzu podczas wolnej godziny. Wtedy to z daleka dawaliśmy sobie znak uścisku dłoni.

Dnia 16 listopada zostaliśmy przewiezieni do więzienia we Wronkach. Znów byliśmy razem, ale tylko podczas transportu. Trzymaliśmy się znów razem, by dostać się na wspólne cele, lecz tutaj spotkała nas niezbyt miła niespodzianka. Powsadzali nas wszystkich na pojedynki. Moja cela była przy celi Jóźwiaka. Na tym samym oddziale znajdował się Kaźmierski, którego cela graniczyła z celą Kęsego. Klinik i Wojciechowski znajdowali się

na innych oddziałach i nie mieli możliwości się widywać. My tymczasem widywaliśmy się codziennie we wolnej godzinie. Tutaj zaczęła się dla nas męka. Cierpieliśmy przy tym strasznie głód. Rano otrzymywaliśmy skibkę chleba suchego. Na obiad litr zupy /woda/. Na kolację jedną trzecią porannej porcji chleba i pół litra zupy /dwa razy woda/. Musieliśmy przy tym kręcić sznurek - 100 m. dziennie /z papieru/, co było rzeczą niemożliwą, jeśli chodziło o ilość. W wypadku niewykonania pracy nie otrzymywało się obiadu. Trzeba było po prostu oszukiwać, żeby dostać tą głodową strawę.

Lecz właśnie tutaj w tych najcięższych chwilach, mieliśmy najwięcej dowodów Opieki Bożej nad nami.

Dla orientacji muszę dodać, że w każdym więzieniu oprócz normalnej porcji obiadu, otrzymuję się tak zwaną dolewkę. Otrzymanie takiej dolewki należało do rzeczy bardzo rzadkich. Jeśli coś w kotle pozostało po rozdzieleniu normalnej porcji, a przeważnie trochę zostało, wtedy otrzymywało się dolewkę. Kto ją otrzymał, zależało od Wachmana. Często szła ona po kolei, a jeszcze częściej, jak się Wachmanowi widziało. Taka dolewka w strasznym głodzie znaczyła bardzo dużo. Normalny człowiek, któr nigdy głodu nie zaznał, nigdy tego nie zrozumie. Tak np. w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny - 8 grudnia, dziwnym trafem otrzymaliśmy wszyscy dolewkę, pomimo, że znajdowaliśmy się daleko od siebie. Dowiedziałem się o tym podczas wolnej godziny, gdzie się zawsze próbowało, żeby móc słów do siebie szepnąć. W ten sposób np. powiedzieliśmy sobie, że codziennie po kolacji będziemy odprawiać nowennę do Niepokalane. Nie zawsze się nam to informowanie udawało. Raz zauważono mnie z Kaźmierskim, w wyniku czego ja nie otrzymałem obiadu, a otrzymałem bicie, a Edkowi nie wolno było w tym miesiącu pisać listu

do domu. Również w powyższy sposób poinformowaliśmy się odnośnie odprawiania nowenny do Jana Bosko, ~~na~~ przed dniem 31 stycznia. Pamiętny był ten dzień 31 stycznia 1941roku. Nie wiem dlaczego cały tydzień nie wypuszczano nas na wolną godzinę. A muszę dodać, że w tej samotności, zobaczenie chociaż na parę chwil z daleka znajomej twarzy, sprawiało wielką ulgę. Było nam bardzo smutno, żeśmy się tak długo nie widzieli. Właśnie w dzień Jana Bosko, w dzień 31 stycznia, była wolna godzina. Odczuliśmy to wszyscy, że św. Jan Bosko zrobił to dla nas, by nas pocieszyć wspólnym widokiem. Przyznam się, że dzisiaj mnie samemu te fakty wydają się niczym wielkim, lecz nie zapomnę nigdy, wówczas dziękowałem Panu Bogu za tę łaskę. Samotność była dla nas okropna. Nie przemówić do nikogo przez miesiąc ani słowa, wydawało się torturą. Po trzech miesiącach samotności Bóg się nad nami zlitował. Przesadzili nas na inny oddział, gdzie siedzieliśmy już po trzech. Nie byliśmy razem, ale z kolegami wspólnej sprawy. Ja dostałem się na celę z rówieśnikami. Po tej samotności czuliśmy się szczęśliwi. Tak, i w więzieniu można być szczęśliwym. Pierwsze dni nie mogliśmy się nagadać. Upajaliśmy się własną mową. Żyliśmy w zgodzie i harmonii. Podczas pracy modliliśmy się, śpiewaliśmy pobożne pieśni, za co nieraz otrzymywaliśmy od Wachmana smary. Czuliśmy się jak w klasztorze. W okresie Wielkiego Postu odprawialiśmy Drogę Krzyżową, którą Bogu dzięki pamiętałem całą na pamięć. W okresie Wielkiego Tygodnia, całe nasze rozmowy i myśli skierowane były na Mękę Pana Jezusa. Postanowiliśmy w tym głodzie zrobić dodatkowy post i w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę nie jedliśmy nic prócz zuóy, którą trzeba było zjeść. Chleb odkładaliśmy na święta. Skutek był taki, że w Święta nie byliśmy w stanie zjeść normalnej porcji chleba. Post ten ofiarowaliśmy o zmiłowanie Boże nad nami.

Jakoś niedługo, bo po paru tygodniach, dnia 23 kwietnia 1941r. zostaliśmy przetransportowani do Berlina. Nasza cała grupa 280 ludzi. Zostaliśmy podzieleni na dwie części. Jedna część do litery L, dostała się do więzienia w Neukölln, a druga część do Szpandau. Byliśmy znów razem z wyjątkiem biegnego Jarosia Wojciechowskiego. W Neukölln mieliśmy, jak na więzienie, dobrze. Siedzieliśmy na wspólnych celach. Z początku odnosili się do nas Wachmani ostro. Przecież przywieziono nas wszystkich w kajdanach. Dopiero, gdy się poznali na nas, że nie jesteśmy żadnymi zbrodniarzami, odnosili się do nas łagodnie. Warunki żywnościowe się trochę poprawiły. Nie znaczy to, że się głód skończył. Bo ~~tego~~ trzeba by było porcję powiększyć, pięciokrotnie, ale zawsze się mówi: lepsze coś niż nic.

Biedny Wojciechowski, jak się dowiedzieliśmy, siedział znów na pojedyńce.

Tutaj moja cela była blisko celi Jóźwiaka. Kęsy, Kaźmierski i Klinik byli na innym oddziale, ale blisko siebie. Tutaj mieliśmy możność pisywać do siebie grypsy. Byliśmy w całym więzieniu sami, więc poczta była zorganizowana przez tych, którzy roznosili pracę po celach. Tutaj było klejenie torebek, kręcenie sznurka, wyrabianie z niego torebek, przebieranie grochu itd.

Z papieru przeznaczonego na torebki porobiliśmy sobie książeczki do nabożeństwa.

Jeden z naszych miał mszalik, więc wszyscy go sobie poodpisywali i co niedzielę na każdej celi odmawiano Mszę św. Po pewnym czasie miałem to szczęście, że do celi, w której byłem, został przydzielony Czesio Jóźwiak. To było moje największe marzenie w więzieniu. Cela była wspólna. Siedziało nas sześciu. Myśmy z Czesiem trzymali się zawsze razem jak bracia. Tam też

zżyliśmy się z niejakim Panem Joachimiakiem, byłym urzędnikiem Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, człowiekiem bardzo rozsądnym. Był okres paru miesięcy, że pozwolono nam przysyłać paczki z domu. Dzieliliśmy się każdą drobnostką.

W tych warunkach zastała nas Gwiazdka.

Pamiętna Gwiazdka 1941 roku.

To nie taka jak rok poprzedni we Wronkach, gdzie nie było do kogo ust otworzyć, a w święta się pracowało, żeby nie myśleć żeby zapomnieć, że to Gwiazdka, by mniej bolało. W wigilię wyszorowaliśmy naszą celę, zrobiliśmy małą choinkę, stół nakryliśmy białym, czystym prześcieradłem. Poprzebieraliśmy się w cywilne ubrania, które mieliśmy w celi. Pod choinkę każdy postawił zdjęcia rodziców, żon czy też dzieci. Przed skromną kolacją podzieliliśmy się opłatkiem, który nam przysłano z domów w listach. Życzyliśmy sobie, by przyszła gwiazdka była wolna i w wolnej Ojczyźnie. Dla mnie osobiście była to Gwiazdka ostatnia w więzieniu, dla wielu była ostatnia na ziemi. Potem długo w noc śpiewaliśmy nasze drogie polskie kolędy. Święta mieliśmy wolne od pracy. Spędziliśmy je na pogawędkach, śpiewaniu kolęd i modleniu się. Bolało nas bardzo, gdy słyszeliśmy dzwony kościelne. Jak chętnie byśmy znów poszli do kościoła. Lecz jak wszystko mija, tak i święta minęły. Dla nas więźniów najmilszym dniem to jest dzień codzienny, w którym podczas pracy do pewnego stopnia zapominało się o swej niedoli. Tutaj właśnie podczas wspólnego pobytu z Czesiem Jóźwiakiem, miałem możność poznać go dobrze i chciałbym jego świetlanej postaci poświęcić kilka słów.

Wiedziałem, że Czesio ma dobry charakter, a jeszcze lepsze serce, ale tutaj w więzieniu przekonałem się, że Czesio miał kryształową duszę. Wierzę święcie, że Czesio zszedł z tego

świata z sercem tak czystym, jakie je posiadał po chrzcie św. Byliśmy względem siebie bardzo otwarci. Nie tailiśmy niczego przed sobą. Każdy człowiek ma słabości i jest ułomny. Ale gdy mi Czesio odsłonił swe życie, przekonałem się, że było ono czyste i nie zmazała go najmniejsza plama nieczystości. Możeż być on postawiony jako wzór młodzieży. Zwierzył mi się, że zasady, na których opierał swe życie, brał z nauk głoszonych w Oratorium przez księdza dyrektora Augustyna Piechurę. Podczas swego pobytu w więzieniu zachowywał się mężnie. Starał się zawsze wszystkich pocieszać. Był wesoły i lubił żartować. Jeden jedyny raz widziałem u niego łzy w oczach. Otrzymał wtedy list z domu wraz ze zdjęciem swej rodziny. Gdy zobaczył wychudzonego ojca, zatroskaną twarz swej matki, zapłakał.

Co do swego losu, to nie łudził się wcale.

Wiedział, co go czeka. W pierwszych dniach, gdy nas zaaresztowali, powiedział mi: Heniu, ty jeszcze wrócisz, ja już nie. Zresztą Czesiu nie bał się śmierci. Wiedział, że to go nie minie. Żal mu było jedynie ginąć tak haniebnie pod gilotyną. Często mi mawiał: "Dlaczego nie zginąłem na wojnie jako żołnierz była by to przynajmniej śmierć honorowa, a tu muszę ginąć jak pies pod płotem. Śnił mi się raz Czesiu, że w czasie sądu, gdy usłyszał wyrok śmierci, chwycił xxx stojącą niedaleko szablę i wbił ją sobie w brzuch. Dziwny sen, ale miałem nieraz obawę, że Czesio przed wykonaniem wyroku może sobie sam zadać śmierć, by nie zginąć tak haniebnie.

Był on bardzo ambitny.

Jak wynikało z jego listu pożegnalnego, to pogodził się zupełnie z tym i było mu obojętne jaką śmiercią ginie.

Podczas swego pobytu w więzieniu wiele dobrego czynił drugim. Jeśli komuś było zimno, dał mu własny pulower, a sam cierpiał zimno. Kiedyś wyrwało mi się z ust mimo woli: "kiedy my się chociaż raz do syta najemy, kiedy się ta nasza głodówka skończy?" Podczas obiadu Czesio daje mi swą porcję i prosi mnie, bym zjadł za niego, gdyż go żołądek boli. Nie chciałem przyjąć, gdyż wiedziałem, że to jest nieprawda, lecz on się uparł i musiałem jego porcję zjeść. Wiedziałem, że z jego strony było to bohaterstwo. Gdzie tylko zdobył odrobinę jedzenia, z wszystkimi się dzielił. Był przy tym stale pogodny i wesoły. Potrafił rozbawić drugich, tak, że nieraz robił wrażenie, że jest gdzieś na wakacjach a nie w więzieniu. W Berlinie mieliśmy wiele styczności z naszymi rówieśnikami, kolegami, których zapoznaliśmy we więzieniu. Opowiadaliśmy im dużo o Oratorium i o ks. Bosko. Bardzo wielu żałowało, że się z nami prędzej nie spotkali. Zapewniali nas, że jeśli Bóg pozwoli im wrócić na wolność, to powiększą grono Oratorianów. Niestety, prawie żaden z nich wolności się nie doczekał. Klinika, Kęsy i Kaźmierski zdobyli sobie na swym oddziale dużo przyjaciół. Wielu pisywało do domów: "jacy dobrzy chłopcy, jak dużo się od nich nauczyliśmy dobrego, szkoda, że ich nie znaliśmy przed wojną. Cały nasz pobyt w Berlinie to był akt miłosierdzia Bożego nad nami. Byliś na wspólnych celach. Mogliśmy korzystać z biblioteki, abonowali my gazety. Był okres paru miesięcy, że nam nawet pozwolono przysyłać paczki z domu, co było niespotykane w żadnym więzieniu. Było to krótko, ale zawsze nam pomogło w podtrzymaniu naszych sił. Potem dostaliśmy jako pracę przebieranie grochu. Korzyść była taka, że co wieczór moczyliśmy groch we wodzie i rano chociaż surowy, ale już miękki można było jeść. Potrafiliśmy zjeść przez cztery miesiące 1000 kg /120 ludzi/. Taki brak się okazał przy rozliczeniu. Gdy groch się skończył, to kleiliśmy torebki.

Wtedy to jedliśmy klej, który w zupie smakował jako tako. Na wiosnę przywieziono nam cebulę do przebierania, która była w części zmarznięta. Wtedy to jedliśmy cebulę jak jabłka. Usta się przy tym poparzyło, ale największy głód był za to zaspokojony. W Berlinie byliśmy od kwietnia 1941 roku do maja 1942 r. W maju 1942 r. zostaliśmy wszyscy przewiezieni do ciężkiego więzienia w Zwickau /Saksonia/. Tam znajdowaliśmy się wszyscy razem w dużych celach po osiemdziesiąt ludzi. Podczas dnia chodziliśmy do pracy w mieście. Prace były bardzo ciężkie. Odżywianie okropne. Na dłuższą metę byśmy nie wytrzymali. Pracowaliśmy całe dnie bez wytchnienia, bez względu na pogodę. Nie było dnia żeby nie było wypadku śmierci jednego z naszej grupy. Zaprzęgał nas do wozu i używali jako siły pociągowej.

Po pracy i po posiłku szliśmy do wspólnych sypialń. W sypialni mieściło się około 200 łóżek. Ulokowaliśmy się tam wszyscy koło siebie. Przed snem pocieszaliśmy się wspólnie. Nieraz zasypialiśmy zaraz ze zmęczenia. Dużo kolegów załamywało się duchowo. Myśmy dzięki Bogu nie zwątpili nigdy, chociaż nieraz było bardzo ciężko. Wogóle nasi chłopacy byli jacyś inni od wszystkich. Na ich twarzach była zawsze pogoda. Z ich ust nie wyszło nigdy słowo skargi. Inni nieraz się dziwili i mówili: "Nam się zdaje, że wam jest dobrze we więzieniu". Mieliśmy między nami jednego księdza z Poznania, u którego mogliśmy się wyspowiadać. Była to pierwsza okazja, więc wszyscy chętnie z niej skorzystaliśmy. Co niedzielę ów ksiądz wygłaszał nam w sypialni kazanie i czytał ewangelię św. Nasz pobyt w Zwickau był najgorszy podczas naszej całej ni-ewoli. Pracą i głodem nas zabijali. I tutaj pomagaliśmy sobie jak mogliśmy. Jeśli który z nas zdobył gdzie kawałek chleba, dzieliliśmy się nim. Przez jakiś czas Jóźwiak pracował na dworcu, przy zmywaniu wagonów sanitarnych. Przynosił nam wtedy skórki od chleba, lub inne

rzeczy do jedzenia, które zdobył. Kaźmierski miał znowu okazję zdobycia łupin od ziemniaków. Więc chociaż one trudno przechodziły przez gardło, ale i to się zjadło. Jak osobiście w Zwickau miałem najgorszą pracę. Było mi bardzo ciężko. I tutaj właśnie przyszło zmiłowanie Boże nade mną. Wtedy właśnie, kiedy już prawie straciłem wszelką nadzieję. W połowie ~~maja~~ czerwca otrzymałem wyrok zaoczny. Zostałem skazany na rok więzienia, z zaliczeniem odbytego śledztwa. Na śledztwie byliśmy do tego czasu. Po czternastu dniach, tj. po uprawomocnieniu wyroku, zostałem zawiadomiony, że na drugi dzień będę zwolniony. Mojej radości nie potrafię opisać. Koledzy również się cieszyli. Każdy dawał mi zlecenia do swych najbliższych. Przez całą noc oka nie zmrużyłem od wrażenia. Rano po serdecznym pożegnaniu z wszystkimi, poszedłem się przebrać w cywilne rzeczy i o godzinie 14,oo zostałem zwolniony, zaopatrzony w bilet kolejowy do Poznania. Było to w pierwszy piątek miesiąca, 3 lipca 1942r. Po 22 miesiącach niewoli poczułem się znów wolnym. Przed moim zwolnieniem nasi chłopcy otrzymali akty oskarżenia i termin rozprawy, naznaczony na dzień 1 sierpnia. Nigdy wówczas nie przeczuwałem, że wszyscy zostaną skazani na karę śmierci. Jedynie co do Jóźwiaka, to się nie łudziłem, żeby dostał inny wyrok. To też gdy się dowiedziałem, że wszyscy zostali skazani na śmierć, nie mogłem w to uwierzyć. Poczułem się opuszczony i samotny. Zawsze marzyłem o tej chwili, gdy oni wrócą i będziemy sobie wspominać przeżycia więzienne. Jedno było dziwne, a właściwie nie było dziwne, że zginęli dnia 24 sierpnia, w dzień Matki Boskiej Wspomożycielki. Wszyscy to wyczuwaliśmy, jak i oni sami, że Wspomożycielka, ta którą czcili całe życie, przyszła do nich w swój dzień 24, by zaprowadzić ich do ogrodu Księdza Bosko i zapłacić im za wszystkie cierpienia, jakie przeżyli.

/-/ Henryk G a b r y e l

Barlinek w styczniu 1947 r.